



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Ci, co dla nas piszą.^{*)}

II. ZUZANNA MORAWSKA.

W roku bieżącym minęło 25 lat, odkąd pisać zaczęła dla młodego wieku dobrze i zaszczytnie znana całemu ogółowi ze swej działalności pedagogicznej i literackiej, Zuzanna Morawska.

Od lat kilku rzadkim bywa ona gościem w Warszawie, niechętnie bowiem opuszcza swój Zulinek pod Mławą, i dwa, trzy razy do roku, jedynie w czasie świąt Bożego Narodzenia i na wiosnę odwiedza licznych swych znajomych w mieście, konferuje z wydawcami i redaktorami.

Wielka to radość, gdy nas odwiedzi, bo choć od ciężkiej choroby, którą przeżyła przed dwoma laty, narzekając nieco na swoje zdrowie, my tej zmiany nie widzimy i nie czujemy. Zapał, energia, bogactwo treści umysłowej, umiejętność pokrzepienia ducha i dodawania hartu — oto są jej główne cechy, które ujawniają się zawsze, zarówno w rozmowach i radach, jak i w pismach.

Choć życie jej nie szło po różach, choć najczęściej w wielu troskach i przejściach na siebie samą tylko liczyć musiała, autorka nasza umiała być samodzielną i zająć wybitne i zasłużone stanowisko przez swój talent i pracę.



Zuzanna Morawska urodziła się d. 11 sierpnia 1846 roku, we wsi Sokołówek, w pow. Ciechanowskim, parafii Opinogórskiej. Matką jej była Franciszka z Ładów, kobieta wielkich zalet umysłu i serca, a ojciec, Franciszek, b. porucznik b. wojsk polskich. Mając zaledwie 1½ roku życia, straciła matkę; wychowaniem dzieciny zajęła się czule ciotka matki, Anna z Młockich Danielska. Na wsi, u tej ciotecznej babki swojej, odebrała autorka nadzwyczaj staranne wychowanie domowe. Babka zastępowała dziewczynce opiekę rodziców, ojciec bowiem zmuszony interesami, wyjechał daleko.

Kiedy miała lat czternaście, ojciec powrócił, zamieszkał w Warszawie i zabrał córeczkę do siebie. Wkrótce jednak ojciec i córka dowiedzieli się o strasznym ciosie: owa ukochana babunia, która starała się zapewnić wnuczce jaknajbardziej rannniejsze wychowanie, umarła. Majątek po niej wskutek różnorodnych niepowodzeń i wypadków był

stracony.

Młoda Zuzanna zapragnęła wstąpić na uniwersytet i w tym celu wyjechać zagranicę, lecz ponieważ różne okoliczności stanęły temu na przeszkodzie, przyjęła posadę nauczycielki na wsi w domu obywatelskim. Mając zaledwie lat 16, została kierowniczką panienki o 2 lata i chłopca o 4 lata tylko młodszych od siebie, i z zadania tego wywiązała się jaknajlepiej.

Po 2 latach autorka pośpieszyła do Warszawy, gdzie zdała świetnie egzamin na wyższą nauczycielkę. Czas jakiś znów przebywała w cha-

*) I. Teresa Jadwiga patrz Nr. 51 „Wieczorów” z r. 1901.

rakterze nauczycielki na wsi, lecz odkąd ojciec zachorował, powróciła do Warszawy. Tutaj, dozorując ojca i dając lekcje, poczęła próbować szczęścia na polu literackim. Utwory poetyckie, drukowane w „Kłosach“ i innych pismach miały wielkie powodzenie, często deklamowano je na koncertach. Podpisywała je zwykle nie swoim nazwiskiem, lecz pseudonimem Anna M.

Powodzenie na polu literackim zachęciło młodą autorkę do dalszej pracy. Kiedy w r. 1877 straciła ojca, praca literacka stała się osłodą jej życia.

Pojawiały się poezye jedna za drugą, wkrótce zaczęła pisać i dla młodzieży. I „Wieczory Rodzinne“ od pierwszego roku istnienia były zasilane jej piórem. W r. 1880 ukazała się w nich pierwsza powieść p. t. „Medalik“, osnuta na dziejach roku 1768. Utwory i artykuły Morawskiej zamieszczały „Kłosy“, „Gazeta Polska“, „Tygodnik Ilustrowany“, „Nasze Kłosy“, i wiele innych pism, bądź to pod własnym nazwiskiem, bądź pod pseudonimami. Nie zaniechała przytem Morawska pracy na niwie nauczania, zwłaszcza dorastających panienek. Szeregi jej uczennic wspominają o niej z serdeczną wdzięcznością.

Od roku 1898 autorka osiadła w małej kilkunastomorgowej posiadłości swej Zulinku pod Mławą, gub. Płockiej. Tam zamierzała otworzyć szkołę ogrodniczą dla panien i zamiaru tego nie zaniechała jeszcze stanowczo.

Z liczby prac i utworów powieściowych Morawskiej wymieniamy te tylko, które wyszły w oddzielnych książkach w Warszawie. Poczet ich jest pokaźny, a niektóre miały po kilka wydań. A więc:

„Pogadanki metodą pogładową“ (1880 r.)
 „O szarej godzinie“ (1881), „Wieczory jesienne“ (1884), „Wilcze gniazdo“ (1885), „Giermek książęcy“ (1890) „Jerzy Jaszczur Bażeński“ (1898), „Królewicz“ (drukowany w Wiecz. Rodzinnych) „Niedźwiedź“ (druk. w Wieczorach), „Jan Niewdźd“ (druk. w Wiecz. Rodz.), „Wróżka wyspy Marty“ „Rotmistrz Wybraniecki“ (1902), „Na kresach Słowiańszczyzny“, „Na smoczej górze“, „Szerszeniowie“, „Diroe“, „Wspomnienia z lat dawnych“ (druk. w Wieczorach), „Król kurkowy“, „Złota Ostroga“.

Dla małych dzieci autorka wydała też prac wiele, a ważniejsze: „24 powiastki“, „Z życia dzieci“, „Nasi znajomi“, „Witek z Kleparza“, „Przygody Zygmunusa“, „Cukierki dla malutkich“, „Przygody 3 chłopczyków i jednej dziewczynki“, „Lalka panny Gosi“, „Moje powiastki“, „Czy to ciekawe“, „Powieści dla moich przyjaciół“ i t. p.

Dwie większe powieści drukowane w Wieczorach Rodzinnych, jedna w r. 1901 „Paniczyk“ a druga historyczna w r. 1903 „Błękitna wstęga“ wyjdą niebawem w wydaniu książkowym. W ro-

ku bieżącym autorka rozpoczęła w tem piśmie druk nowej powieści na tle życia Mikołaja Reja. Liczne listy, które otrzymywała nieraz zarówno redakcja „Wieczorów“, jak i sama autorka od młodzieży z powodu swych powieści świadczą, jak umie poruszyć a nietylko zaciekawić swych czytelników. Wobec tego, że w tym roku upłynął 25-o letni okres czasu, odkąd zaczęła pisać dla młodzieży, redakcja przy końcu tego krótkiego szkicu składa zasłużonej autorce wyrazy wdzięczności i uznania oraz najlepsze życzenia długiej i również owocnej pracy.

W. K.



Jak cię witać?

Jak cię witać upragniony gończe,
 Zstępujący w niskiej chaty próg?
 Czy snop kwiecica rzucić ci do nóg?
 Czyli piosnki rozdzwonić skowronczce?

Jako łabędź w błękitnej posowie
 Z zamglonemi przypływasz oczyma.
 Żadna siła twych lotów nie wstrzyma,
 Ale my cię poznamy po słowie.

Jasny ptaku z dalekiego szlaku!
 Nieznajomą przychodzisz nam drogą;
 Nikt cię nie zna, ty nie znasz nikogo, --
 Ale my cię poczem po znaku.

Wszak w powodzi skier na twojem czole
 Płonie stygmat miłości i wiary,
 W twojej piersi tli się ogień stary
 Z skrzydeł pióra tryskają sokole.

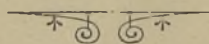
Jakże ciebie nie uznać za brata,
 Zstępujący na śnieżne kobierce, —
 Kiedy hasłem twemi — wiara i serce,
 Ukochaniem — rdzawy pług i chata.

Jakże ciebie nie uznać za druha,
 Jak nie witać zgietemi kolany, —
 Kiedy schodzisz w znak Pana nad Pany,
 „W Imię Ojca i Syna i Ducha!“

Na twej drodze wykwita lilija,
 Złota gwiazda światłem twoich dróg;

.....
 Niech w Jasności nas zawiedzie próg
 Święte Imię: Jezus i Maryja!

Miles (St. Podhorska-Okołów).



Z. Morawska.



Przygody Imć Pana Mikołajka.*)

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

Imć pan Rej mruknał coś pod nosem i poszedł dalej. Przystanął wszakże, rozejrzał się raz jeszcze. Coraz wyraźniejszy odgłos cepów, rozchodzący się ze stodoły, skłonił go nareszcie.

— I gdzie go to lichy poniosło!.. — mruknał, myśląc o synu.

— No, no, dam ja mu rozgrzewkę, aż w niebie słyhać będzie! — dodał.

I z tą pogroźką wszedł do stodoły.

Draszk, spostrzegłszy pana z siłą poczęli cepami machać, podstarości nogą słomę ogarniał, lecz jegomość nie zwrócił uwagi na tę ich zwiększoną pilność.

— Był tu Mikołajek?

Przy łomocie cepów nikt nie słyszał zapytania, aż podstarości się zbliżył i zasłoniwszy ucho garścią, ku panu je nadstawił.

— Mikołajka nie było? — powtórzył pan Rej pytanie.

— A co ino!! — odrzekł podstarości, oglądając się dokoła.

— A kaj się podział? — pytał dalej jegomość.

Podstarości raz jeszcze się rozejrzał, jakby słomki, nie zaślebskiego a dobrze wyrosłego chłopaka szukał i rzekł.

— Kany by poszedł, nie zważałem.

— Mikołajek, jak Mikołajek, juści jest, juści go niema... — dodał.

— Toć na dziecko trzeba uważać! — zawołał pan Rej grzmiącym głosem.

— Przecie, toć też krzywdy mu się nie da, — odrzekł podstarości.

— Ale gdzieby poszedł, trudno zmiarkować, kiej to jak wiatr, a człowiek ma cały doгляд na głowie! — mówił dalej usprawiedliwiając się podstarości.

— Na wierzejach się huśtał, tom ostrzegł, żeby sobie krzywdy nie zrobił, i tyła! — dodał.

— Równy tam, równy! nie ociągać się! — wołał z całą gorliwością, zwracając się do draszków.

A pan Rej, nie zapytawszy nawet, ile warstw wymłócili, zawrócił ku domowi.

— Dam ja mu! — odgrażał się, będąc pewny, że syna znajdzie w domu. Po drodze wszakże zaszedł jeszcze do stajen, zajrzał do obory i owczarni, a że dojrzał owczarka drzemiącego w kacie, a owczarza wystrzygającego wełnę baranom, kuksnął pierwszego, drugiemu wlał parę razów i odebrał wystrzyżoną wełnę. To wszystko sporo zajęło czasu; zły, zasapany wracał do dworu.

— A Mikołajek? — zapytała pani Barbara, ujrzaawszy wchodzącego małżonka.

— Jakto, niema go jeszcze? — spytał małżonek.

— Bój—że się jegomość Boga! — krzyknęła załamując ręce pani Rejowa.

I jegomość go nie szukał! — dodała z wymówką.

Paraska, ruszaj co tchu — rozkazywała dalej, zarzucając na siebie tołubek i chustę na głowę.

— A toć-że powiedzieli... — rzekł jegomość.

Ale przypomniawszy sobie, że mu nic nie powiedzieli, gdzieby się Mikołajek obracał, trzasnął drzwiami i wyszedł co prędzej napowrót.

— Wasil, a lećże szukaj Mikołajka, — rozkazała strapiionym głosem pani Rejowa.

— Toć-że niech się jejmość dobrodziejka nie lęka i nie alteruje, Mikołajkowi nic się nie stanie, a jejmość dobrodziejka, uchowaj Boże, zachoruje, — mówiła panna Kordula, wyprawna panna imć pani Rejowej.

Pomagała wszakże jejmości odziewać się, a na Paraskę wołała:

— Spieszajno, nie czekaj! ale gdzie ciżmy jejmości dobrodziejki?

Paraska kręciła się, łomocząc drewnianymi chodakami i nie wiedząc, czy pierwiej podać ciżmy, czy szukać Mikołajka.

Znalazła nareszcie ciżmy, a zostawiając dalsze starania pannie Korduli, wyskoczyła przez alkierz do sieni prowadzącej do kuchni i piekarni, a po drodze zdążyła zawołać:

— Mikołajek kajś zginął!

— Ba, Mikołajek, pewnikiem gdzie wróble wykreca albo wronie gniazda zrzuca! zaśmiano się w piekarni.

— Odsuń prosię, bo się docna przypali! — zawołał kuchta.

Jejmość nie siadzie do jadła, póki Mikołajka nie znajdą, a jak prosię będzie przepieczone to kucharz oberwie... — zakończył.

I zaraz mruknał:

— Nie mnie tam ichmościów sądzić, ale że tego swego jedynaka nadto pieszczą, to w tem powiedzeniu i grzechu niema.

Ale zaraz wstał i własnoręcznie jakiś rondel od ognia odsunął i rzekł:

— Wątróbka też będzie miała jeszcze czas.

Spróbował z onego rondelka i mówił:

— Trzeba jeno jeszcze trochę miodowniku, bo Mikołajek lubi słodko.

Tymczasem w podwórzu i gumnach cisza była zupełna.

Cepy przestały wydawać swój suchy a jednostajny odgłos, w stajniach i oborach słyhać było tylko przeżuwanie zasypanego obroku, ale ludzie nie śniali się nigdzie.

Słonko wskazywało południe, a patrząc uśmiechniętym wzrokiem, zdawało się wołać:

— Mam ja w sobie tyle gorącości, że i najsroższy mróz jej nie odbierze, ale wy tam na ziemi idźcie rozgrzać się a pokrzepić.

Poszli więc za radą słonka i każdy rozgrzewał się przy płonącym kominie, pokrzepiając siły gorącą strawą.

Cisza więc była zupełna, nie słyhać było ani uderzeń cepów, ani skrzypu zmarznitego śniegu pod nogami, ani nawoływania stajennych, ani gromkiego głosu gumienego i podstarościch.

Nie dochodził też żaden gwar z nad rzeki, bo mróz i tutaj rozpostarł swe panowanie

i bystre fale Dniestru ścisnął w swoich okowach.

Tylko niebo tam hen daleko, odbijając w błękitie swoim białosć śniegu, zdawało się łączyć z ziemią.

Wśród tej ogólnej ciszy jeszcze głośniej rozchodził się skrzyp śniegu pod niecierpliwymi krokami imię pana Reja i jeszcze donośniej brzmiało niecierpliwe jego nawoływanie:

— Matryn! Hawryło! a żeby was!

A do tego gromkiego głosu dołączyło się teraz wołanie imci pani Barbary:

— Mikołajek! Mi-ko-ła-a-jek!

W głosie tym znać było trwogę i tłumione łkanie. A na tle tych dwóch głosów odzywało się ciężkie stąpanie Wacha i uderzanie drewnianych chodaków Paraski, która sama, nie wiedząc czemu, biegła na wszystkie strony i szczerząc zęby, rada była, że może nic nie robić i na mrozie nieco pobaraszkować.

Z piekarni poczęli nadciągać ludzie. Każdy, usłyszawszy głos jegomości, śpieszył z wystraszoną miną. Nie było to bowiem w jego zwyczaju, żeby od misy a odpoczynku parobków odrywać, boć i sam równocześnie z nimi smakowitem jadłem się raczył i wypoczynku zażywał.

Rozumieli więc, że stało się coś nadzwyczajnego, a tem więcej, gdy ujrzeli jejmość panią z wielkim lamentem szybko po podwórce chodzącą.

W cichym przed chwilą podwórce, koło stajen, obory, owczarni, gumna i stodoły słysząc jeno było:

— Mikołajek! Mikołajek!!

Wołanie to wyrzucane naraz z kilkunastu piersi przeszło w jakieś nieznane dotąd nikomu głosy...

Coś jakby klekot donośny. A z chat wybieżeli chłopci i nie wiedząc, co się stało pędzili też za urzędnikami.

W przestrachu tym uszu ich doleciało:

— Kołajok! Kołajok!¹)

Każdy więc wierny zwyczajowi, darł się na całe gardło:

— Koła-jok! Ko-ła-a-jok!

Teraz i ci, co byli w podwórce, zaprzestali szukać i wołać Mikołajka, powtarzali jeno, biegając bez pamięci:

— Kołajok! Kołajok!

Pan Rej, jako człek przytomny i głowa całego domu, zoczywszy chmarę z całej wsi ludzi, spojrział najpierw na dachy, czy gdzie pożar nie wybuchł, potem ku stojącej nieruchomości ściętej mrozem rzecze i rozejrzał się, czy gdzie Tatara lub Turka złe nie niesie. Nigdzie nic!

Jeno głos coraz jęklniejszy wychodzi ze wszystkich piersi, bijąc zgodnie ku górze:

— Kołajok, Kołajok!

W tej chwili imię pan Rej zapomniał nawet o Mikołajku, — był ci pewien, że mu się nic złego nie stało, jeno figle a psikusy gdzieś młodzieniaszka nadto długo trzymają. — Jeże-

li zaś szukał go, to ku uciszeniu nadzwyczajnej alteracji jejmość dobrodziejki.

Teraz, nie dojrawszy jej na podwórce, zostawił całą wrzeszczącą rzeszę i ku domowi się skierował.

Jejmość pani Barbara nie była tak spokojną jak jej małżonek, w alkierzu klęcząc przed Ukrzyżowanym zalewała się łzami, a panna Kordula z miną, stosowną do okoliczności, klęczała opodal swej pani.

— Ależ, moja panno, toć to i grzech płakać byle czego...

— Jak to byle czego? — spytała, zrywając się z klęczek pani Barbara.

— Cóż to, Mikołajek jest byle co, dla jegomości? — dodała z gorzką wymówką, patrząc małżonkowi śmiało w oczy.

Imię pan Rej kapitulował, i miał już coś gwoli kondolencji powiedzieć, gdy nagle z podwórca doleciał go jeszcze gwałtowniejszy wrzask, pisk i tupot po zmarzniętym śniegu, jak gdyby tabun koni wpędzono.

— Tatarzy, czy co! — przebiegło mu przez myśl. I śpiesznie wybiegł z alkierza.

Za nim biegła pani Barbara.

Na podwórce osobiwy uderzył ją widok.

Olbrzymi chłop niósł na ramionach jakieś dziwo tak dziwacznie w słomę przybrane, że nie można było poznać co to zacz było.

Nogami ścisnął chłopca, rękoma obejmowało go za szyję, lecz był to snop pszenicznej słomy, z niego wychodziła słomiana najeżona kłosami czapa, z pod niej dwoje oczu świeciło.

Oto właśnie, kiedy wszyscy wrzeszcząc, ile kto miał siły, upatrywał rzekomego niebezpieczeństwa, jeden z chłopów zaszedł za szczyt stodoły i podniósłszy głowę do góry, ujrział to *dziwo*, wyglądające przez oderwaną deskę:

Chłop sądząc, że to jakieś nasłanie a może i samo złe, które się stało całego popłochu przyczyną, teraz przez otwór w stodole wygląda, przystawił drabinę, przeżegnał się i z wielkim bohaterstwem, chociaż i z wielkim lękiem ono *złe* pochwycił.

Złe wcale się nie broniło, — owszem, uchwyciło chłopca za szyję, zwinnie przekreśliło się na jego plecach i zjechało swobodnie z drabiny.

Chłop, ośmieliwszy się jakoś, w tryumfie szedł na podwórze, a tłum ujrawszy *złe*, rzucił się na *nie* z widłami i drągami.

Któryś nawet przez snopek już nieźle dojechał.

Wtedy owo *złe*, zeskoczyło na ziemię, zrzucało czapę i skacząc, poczęło się śmiać na całe gardło.

— Mikołajek! — wrzasnęła Paraska.

— Mikołajek! — powtórzył Hryć, a za nim tłum cały.

A była to właśnie chwila, kiedy oboje imię państwo Rejowie w najwyższym przestrachu na podwórzec wybiegli.

Mikołajek, chcąc oswobodzić się ze snopka słomy i całego cudacznego stroju, skakał wyprawując najrozmaitsze miny, a chłopci śmiejąc się i wrzeszcząc, wołali:

— Też to ucieszny ten nasz Mikołajek!

Mikołajek zaś spostrzegłszy rodziców, zbliżył się w podskokach do pani matki i śmiejąc się, obejmował jej kolana.

¹) Odgłos starożytnej kołatki, którą nad Dniestrem ogłaszano pożar, wylew wody lub napad nieprzyjaciela; przyczem każdy powinien był głos ten powtarzać.

Pani Barbara, widząc, że jej ukochanemu synowi żadne już niebezpieczeństwo nie grozi, uśmiechała się z figlów jedynaka, ale jegomość nasrożył wasy, a odczepiwszy od pasa nahajkę, spuścić chciał na dolną część Mikołajka, która jak raz z pod snopka się jakoś oswobodziła.

Co widząc pani Barbara usunęła na bok syna i popchnęła go przed sobą ku domowi. Hryćko zaś przypadłszy do nóg jegomości, zawołał:

— Toć już mnie bijcie, a nie Mikołajka!

Pan Rej, rozbrojony takim przywiązaniem Hrycia, odsunął go od siebie, dyscyplinę napowrót za pas założył i również skierował się ku domowi.

Wtem uczuł, że go ktoś obłapia za nogi. To gumieny kłaniał mu się nisko, wołając:

— Jegomość, panoczku, nie sierdźcie się na Mikołajka, że nam taką uciechę wyprawił.

Pan Rej poruszył wąsami, ale znać było, że mu to przyjemność sprawia, iż Mikołajek ma taką miłość u służby.

A gumieny spojrzawszy na pana, dodał:

— Toć i my oba, panoczku, jakeśmy byli młodzi, nie jednegośmy figla spłatali.

— Pamięta to jegomość, panyczu, jeszcze w Nagłowicach?

Pan Rej śnać nie jeden miał figiel, ze swych lat młodzieńczych, bo uśmiechnął się i rzekł:

— Wy wszyscy za Mikołajkiem, a jak na nieponia wiatrogłowego, nie daj Boże, wyrośnie, — to ani wam z nim, ani jemu nie będzie dobrze na świecie!

— Iii... toć to wszystko w ręku Boga! — mówił gumieny.

(d. c. n.)



Nasze prawa i obowiązki.

LIST II.

Winnica 19**

Kocham cię Cioteczko, mam odwagę i nie tylko chęć, ale serdeczne pragnienie dzielić się z tobą memi myślami. Widzisz, zaczynam prawie twoimi słowami a jeżeli mam być zupełnie szczerą i prostą, to dodam zaraz, że szczególnie od jakiegoś czasu myśli te ciągle ulatywały ku tobie. Pragnęłam nawiązania z tobą jak-najbliższego stosunku, bo jak Zośka, dzieciak wdrapywała się na kolana ciotki i z całym zaufaniem zarzu-

cała ją błahemi i drobiazgowymi pytaniami, tak dziś Zośka, człowiek i myśląca dusza, wszędzie dokoła spozstrzega jakieś „dlaczego“ i o tyle chce pytać, tyle się naraz dowiedzieć, tyle trzeba jej rzeczy wytłomaczyć, wyjaśnić, że zrobisz dobrodziejstwo Cioteczko, jak przyjdiesz mamie z pomocą i weźmiesz na siebie choć część uciążliwego obowiązku odpowiadania na moje pytania.

Nie widziałyśmy się dwa lata. W innym okresie życia, później, taki przeciąg czasu może mniej zmian przynosi. Dla mnie była to epoka zupełnego przeobrażenia. Wiesz, Cioteczko, ile wrażeń przez ten czas przeżyłam. Przedewszystkiem choroba mamy. Jakże długo trzymała nas ona w przeświadczeniu, że nieszczęście stoi tuż tuż, że tylko Wszchemoc i Miłosierdzie Boże każe mu czekać jeszcze nim uderzy w nas gromem. I wtedy Ciociu nauczyłam się wiele. Poczułam czym jest w duszy dziecka miłość dla matki i czym mógłby być brak macierzyńskiego serca. Nie chcę dziś dłużej zatrzymywać się nad tem, ale kiedyś później wrócę do tego przedmiotu, bo to wszystko, co wtedy czułam i przeżywałam wpłynęło bardzo na urobienie mojej duszy. Prócz tego wewnętrznego wpływu choroba mamy postawiła mnie oko w oko z twardem realnem życiem i poczułam się opiekunką nie tylko jej — ale rodzeństwa i domu, towarzyszką ojca, jednym słowem cały szereg obowiązków, o których dotąd niejako teoretycznie wiedziałam, są i że je kiedyś spełniać będę musiała, stanął przede mną mówiąc: „poznaj nas i wypełniaj, — życie — to my“.

Dalej wiesz Cioteczko, że prawie całe dwa ostatnie lata przebyliśmy w mieście, że się tam uczyłam i stykałam z tem wszystkim, co miało kształcić nie tylko umysł ale i serce. Mama, wracająca już powoli do zdrowia, kierowała sama z całym zapałem nauką moją, a ja z rozkoszą poddawałam się tym wpływom które zrobić powinny były ze mnie człowieka. Wtedy, pamiętam, jak bardzo brakowało mi Stasia. Ten starszy brat, kończący nauki zagranicą, wyrósł w mojej wyobraźni na olbrzyma wiedzy, szlachetności i wszelkich cnót. I wiesz Cioteczko nie zmalał mi, gdy wrócił. Bo, że Staś wrócił, tego nie wiedziałas chyba, nie wiedziałas, że zamieszkał o milę od naszej Winnicy, że gospodaruje zawzięcie i że zaczyna tak żyć, żeby to co mu było dotąd teorią i zasadą, stało się czynem. Ten Staś, Ciociu, to moja duma i kochanie serdeczne i nieraz pewno mówić ci o nim będę.

A ja jaką jestem? Czy ja wiem Ciociu co ci na to odpowiedzieć? Może i Zośka coś warta, ale takie to nic wobec innych, wobec Stasia. Chciałabym umieć pożytecznie przejść przez życie; chciałabym żeby zawsze w najdrobniejszej rzeczy czyny moje godziły się ze słowami, chciałabym umieć kochać i szanować wszystko, co kochania i szacunku godne. Wreszcie Ciociu, Zośce pali się w głowie. Mam różne projekty. Jedne już w czyn wprowadziłam, o drugich mówiłam, a wiele jest i takich, które gnieżdżą się jeszcze w najtajniejszych zakątkach myśli. O wszystkim Ciociu pisać ci będę; więc najpierw o ochronce, którą od pół roku razem z Irenką prowadzimy, o szpitaliku, który rodzice zakładają teraz; o projektach na szkołę gospodarstwa dla dziewcząt wiejskich, która ma powstać za kilka miesięcy i t. d. i t. d. Ale to wszystko już nie dziś. Gotowaś Cioteczko przestraszyć się gadulstwa twojej siostrzeniczki, a ona teraz bardzo pragnie, żeby ten list był tylko pierwszym ogniwem dalszej długiej i częstej naszej korespondencji.

Zośka.



JAN CHEŁMIŃSKI (współczesny malarz polski).

PRZEJAZDZKA.

Po błyszczącej, gładkiej drodze
 Mkną rzeźbione sanki...
 Wyjechały na spacer
 Kasztelanki.
 Gdyby piórko, — dzielny rumak
 Unosi je w pędzie...
 Jak ta droga ich życie
 Snuć się będzie.

Kasztelanki, kasztelanki,
 Co nie znacie troski,
 Wnet wam migną opłotki
 Cichej wioski.
 Mignie bratnich chociaż niskich
 Sznur chat skrytych w śniegu...
 Pomnijcie o tych duszach
 W życia biegu.

Ig. B.

Ah-ni-ghi-to.

Dzieweczka z krainy śniegów.

Przekład z ang. M. G.

II.

Po drodze zatrzymała się w Nowym Jorku, żeby pożegnać się z wujaszkiem i z drogą babcią w Portlandzie. I im przyrzekła powrócić na przyszłą jesień. — jeżeli się uda — z tatusiem.

Teraz pragnęła już tylko wyruszyć jaknajprędzej. — Wieczorem, 20 lipca, przed samem wypłynięciem napisała w swoim dzienniku:

20 lipca — 1900.

„Chwała Bogu! Nakoniec mateczka i ja jedziemy do tatusia. Chciałabym wiedzieć jak długo to potrwa. Nie mogę się doczekać.

Mamy takie malutkie kajutki. że jedna z nas musi leżeć w łóżku, dopóki druga się nie ubierze. Wszystko tu bardzo czyste i wygodne. Mam małego kotka do zabawy, a zdaje mi się, że będę lubiła naszą służącą.



Percy, służąca Ah-ni-ghi-to.

Jest ona żoną kucharza. Nigdy jeszcze nie wyjeżdżała ze swojego domu, tylko raz do Labradoru, na statkach rybackich. Przez całe lato łowi tam ryby, i żyją potem z tego przez całą zimę.

Cały pierwszy tydzień czas był pogodny ale zimny. Tak się przynajmniej wydało Ah-ni-ghi-to i mateczce, w porównaniu z tem co pozostawiły w domu.

Stary statek „Windward“ płynął powoli, więc wszyscy się ucieszyli, kiedy powiał wiatr, i nadymając żagle pomagał maszynom.



Statek, na którym płynie Ah-ni-ghi-to.

Popłynęli przez zatokę Św. Wawrzyńca, wzdłuż wybrzeży Newfoundlandu, aż do cieśniny Belle Isle. A stamtąd przez cieśninę wzdłuż brzegów Labradoru... 29 lipca przepływający statek rybacki zabrał listy i obiecał oddać je na pocztę w Labradorze. Była to ostatnia sposobność posłania wiadomości do domu, przed powrotem na przyszłą jesień, więc Ah-ni-ghi-to napisała tak do wuja.

„Na pokładzie statku Windward. 29 lipca 1900. Kochany wujaszku.

„Dotąd prawie ciągle była pogoda. W cieśninie Belle Isle spotkaliśmy dużo wielkich lodowców. Cieszę się, że słońce świeci, bo kapitan którego bardzo lubię, mówi, że tu są skały. Gdyby nasz statek uderzył o nie, mógłby się rozbić, a łatwo uderzyć kiedy jest gęsta mgła i nie można nic widzieć przed sobą.

Mój kotek jest bardzo dziki i nie chce mię słuchać chociaż karmię go mlekiem i chlebem, i staram się z nim zaprzyjaźnić. Kapitan jest bardzo wesoły i bawi się ze mną. Kazał mi zrobić

adną huśtawkę na pokładzie i kiedy statek nie-bardzo się przechyla, mogą się huścić.

Percy — nasza służąca mówi, że nie widziała nigdy żeby dzieci się bawiły, bo tam skąd ona jest, to zawsze siedzą tylko nieruchomo, z rękami założonemi na kolanach. Cieszę się, że ja tam nie mieszkam. Uczę ją bawić się mojami papierowemi lalkami i w gotowanie, ale że najczęściej jest chora na morską chorobę, więc nie bardzo nam idzie.

Mateczka i ja i Percy, mieszkamy na jednym końcu statku, a kapitan ze swemi ludźmi na drugim — więc nas przedziela cała długość statku. Mogę hałasować ile mi się podoba, a nikt tego nie słyszy. Percy przynosi nam jedzenie do kajuty, więc tak jest jakbyśmy same były na statku.

Kapitan czasem przychodzi do nas i bawi się ze mną: nazywam go — *kapitan Pan*.

Dziś deszcz pada i bardzo zimno, i biedni rybacy mają takie miny, jak gdyby woleli być w domu; ale mówią że to jest dobry czas do połowu i trzeba z niego korzystać. Mateczka naku-piła ryb na obiad i na śniadanie, a teraz muszę kończyć, bo kapitan sam czeka na list.

Posyłam wujaszкови cały korzec całusów od
Ah-ni-ghi-to.

P. S. Nie mamy teraz wcale nocy. Ciągłe jest prawie zupełnie widno.“-

Jak tylko rybak powrócił na swój statek zabrawszy listy, *Windward* popłynął swoją drogą, ale mgła i północny wiatr trzymały go długo przy brzegach Labradoru. Cieśninę Davaa prze-płynęli podczas burzy i wiatru, które trwały kilka dni; raz kiedy mateczka czytała *Ah-ni-ghi-to* książkę w kajucie, uderzył silniejszy uragan. Rozległ się wielki trzask na pokładzie, zaczął się sypać grad potłuczonego szkła z sufitu kajuty, rozlegało się wołanie kapitana i bieganie majtków. Mateczka przeleżała się, ale jak tylko szkło przestało się sypać, *Ah-ni-ghi-to* zawołała:

— Czytaj dalej, mateczko!

Była ona już tyle razy na morzu podczas burzy, że nie bała się wcale i wszystko, co się zdarzało na statku uważała za rzecz naturalną.

Kapitan sam powiedział potem, że statek toczył się na falach jak piłka, a skutkiem burzy i mgły znalazł się tak blisko lodowca, że kiedy człowiek w czatowni to zobaczył, trzeba było skrócić na miejscu jaknajprędzej, żeby statek nie roztrzaskał się na kawałki o lodowe ściany.

Skutkiem tego worki z węglem uwiązane na pokładzie oberwały się i rozsypały, tłukąc wszystko co było na drodze.

We cztery godziny potem, statek wypłynął na spokojne morze przy blasku słońca świeżącego jasno.

Pęki bananów zabrane dla ojca zaczęły tak prędko dojrzewać, że trzeba je było zjadać—więc *Ah-ni-gh-to* z wielką radością wzięła całą naręcz na pokład, rozdzieliła pomiędzy załogę, niektórzy z majtków jedli ten owoc pierwszy raz w życiu.

(d. c. n.)

PUDEL.

Chodź, Milusiu, tutaj do mnie,
Siądź w kąciку grzecznie, skromnie,
Będzie lekcya dziś;

Jesteś przecie piesek duży,
Czas już wiedzieć jak się służy,
Naucz cię Zdzisł.

W górę podnieś łapki składnie,
Tak, tak, dobrze, bardzo ładnie,
Jak na pierwszy raz.

Łatwo poszła ci ta sztuka,
Ciesz mi to, gdyż nauka
Ma nie pójdzie w las.

Więc też zaraz bez zwlekania
Zabierzem się do skakania,
Boś zuch, a nie tchórz.

Cóż to, mój pudelku biały!
Czy ci nóżki podrętwiały,
Żeś je spuścił już.

No, Milusiu, nie trać miny,
Spocznij sobie z ćwierć godziny.
I do pracy znów.

Dobry piesek dzisiaj grzeczny
Lecz nieraz nie słucha, sprzecznym,
Upomnienia słów.

Coś ci powiem w zaufaniu
Po tej lekcji przy rozstaniu,
A nie wydasz mię?

Ja też nieraz z figlów sobie
Bywałem podobny tobie,
Nie słuchałem się...

Hau, hau, — piesek czy się gniewa?
Może Zdzisł rad wyśmiewa,
Że sam błądził też.

Wiedz, pudelku, Zdzisł już inny
Porzucił upór dziecinny
Więc wzór z niego bierz.
Wł. Płaczkowska.

Zawstydzony Kazio.

— Nie, nie, ja się tego nigdy nie nauczę! — wołał z uporem mały Kazio, bijąc ze złością pięściami elementarz z ładnymi kolorowymi literami.

— Po co mnie mama męczy tą nauką? Tyle dzieci wiejskich nie umie czytać i dobrze im.

— Nierozsądny jesteś, Kaziu — odpowiedziała mama. — Ale tymczasem schowam twój elementarz i idź bawić się z Wickiem, takim samym jak ty, nieukiem.

Kazio zadowolony, że postawił na swoim, wybiegł z pokoju, aby się połączyć z oczekującym na niego w ogrodzie Wickiem, synem stróża nocnego, swym rówieśnikiem. Cały dzień swawolili na swobodzie, gdy jednak bieganie i figle w końcu się im sprzykrzyły, Wicek wdrapał się po ścianie na okno jednego z pokoi, gdzie zauważył dużą złoconą w czerwonej oprawie książkę leżącą na stole.

— Panicu, obacmy co tam je w tej książce, pewnikiem piękne obrazki — pytał Kazia, który posłuszny woli towarzysza pobiegł do pokoju, by przynieść książkę.

Za chwilę obaj chłopcy siedzieli na ławce i z zaciekawieniem oglądali obrazki, przedstawiające rycerzy na koniach, miasto, góry wysokie, różne zwierzęta i t. p.

— Panicu, co to znaczy? — zapytywał wciąż zaciekawiony Wicek, wskazując palcem — niech panic przeczyta, oto pod spodem je coś napisane.

Kazio jednak bał tylko coś, a w końcu wyznał ze wstydem, że on czytać jeszcze nie umie.

— Jak to może być, żeby panic nie miał nauki żadnej — od czego je panicem? — pytał Wicek, zdziwionymi oczyma patrząc na Kazia. — My to co jennygo, my bez całe lato musimy paść dobytek, albo młodsze dzieci pilnować, to i niema casu na naukę, ale panic...

Zawstydzony do najwyższego stopnia Kazio, pobiegł do mamy, a objawszy ją za szyję, prosił z pokorą:

— Mamusiu, nie gniewaj się już na mnie i proszę, ucz mnie, bo ja już będę posłuszny i pilny w nauce.

M. R. S.



Odważni tchórze.

KOMEDYJKA w jednym akcie.



OSOBY:

Babunia, Irenka i Bolek (uczeń I klasy) jej wnuczeta, *Janek*, kolega *Bolka*, *Antosia*, służąca *Cyganie*.

SCENA I.

Babunia (siedzi na fotelu), *Irenka* potem *Antosia*.
(Scena przedstawia pokój stołowy na wsi. Przy ścianie duża kanapa).

Babunia. Irenko, która godzina?

Irenka. Już trzecia dochodzi, a ich jeszcze niema... kiedyż nareszcie przyjadą, przecież już pociąg od godziny przyszedł! Nieznośni, wiedzą, jak ich niecierpliwie czekam!..

Babunia. Wyjrzyj-no przez okno, może już jadą...

Irenka (podbiega do okna). Nic babciu, nie widzę... Taki gęsty śnieg pada, całą drogę zawiąło. Babciu, może oni zabłądzili w drodze!.. śnieg ich zasypie! zmarzną!.. Ach, Boże... Boże...

Babunia (żywo). Nie, nie bój się, Irenko, przecież to niedaleko od stacyi, zresztą Wojciech gdyby widział niebezpieczeństwo, nie ruszałby w drogę.

Irenka. Tak, to prawda... ale zawsze wołałabym, żeby już tu byli... (w oddali daje się słyszeć głos dzwonek przy sankach i z każdą chwilą staje się wyraźniejszy).

Irenka. Jadą, jadą! słyszysz babciu!

Babunia. Nie słyszę moje dziecko, ale jeśli twoje uszki posłyszały...

(drzwi otwierają się nagle i do pokoju wbiega *Antosia* ubrana po wiejsku).

Antosia. Adyć jadą, jadą! Już są wiele mostka!

Irenka (klaszcze w dłonie). Jadą! ach, czemuż to zima, czemuż nie mogę wybiedz na spotkanie! (podbiega do okna).

Babunia (wstaje z fotelu). Moja *Antosiu*, a miejże tam gorącą herbatę dla nich.

Antosia. Oj, pewnie ci chudziaki zmarzły, taki mróz, (wybiega).

Irenka. *Babuniu*, *babuniu*, pozwól mi wyjść choć na ganek!

Babunia. Zażębisz się, Irenko, poczekaj, już za chwilę tu będą... Mój drogi *Bolek*, pewno uroś, zmężniał...

Irenka. O, już są, są! Ach, jacy pookreścani w chustki! (śmieje się). Tylko im czerwone nosy widać. Nie mogą sami wydobyć się z sank!.. Wojciech ich znosi! hi, hi, hi...

SCENA II.

Babunia, Irenka, Bolek, Janek, później *Antosia*.
(Za drzwiami dają się słyszeć liczne głosy, tupania, ruch, wreszcie drzwi otwierają się nagle i do pokoju wpadają chłopcy. Obaj zakutani, że im twarzy nie widać).

Bolek (rozkłada bezradnie ręce). Oj, oj uduszę się!

Irenka (podbiega do Janka i rzuca mu się na szyję). Jak się masz, braciszku, nie mogłam się ciebie doczekać...

Janek (przytłumiony głos z za chustki). To nie ja, to on... raczej chciałem powiedzieć, to nie on, tylko ja!..

Irenka. Ach, to nie Bolek!.. tacyście teraz podobni do siebie! (rzuca się na szyję Bolkowi).

Bolek (zatacza się w tył i pada na głęboki fotel babuni). Aj! Aj! nie mogę się wydostać, zdejmijcie ze mnie te chustki!

(Irenka i Babunia ze śmiechem wyciągają Bolka z fotelu, poczem rozbierają obu chłopców. W tej chwili drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi Antosia z walizkami).

Babunia. Moja Antosiu, daj-no prędzej gorącej herbaty!.. Chodźcie, chodźcie do kominika! Bardzoście zmarzli? (Antosia stawia walizki i wychodzi). Mój Bolek, moje ukochane dziecko! (całuje i ściska wnuka). (c. d. n.)

LOGOGRYF.

uł. Stella.

1	+	*	*	*	*	*
2	*	+	*	*	*	*
3	+	*	*	*	*	*
4	*	+	*	*	*	*
5	+	*	*	*	*	*
6	*	+	*	*	*	*
7	+	*	*	*	*	*
8	*	+	*	*	*	*
9	+	*	*	*	*	*
10	*	+	*	*	*	*
11	+	*	*	*	*	*
12	*	+	*	*	*	*
13	+	*	*	*	*	*
14	*	+	*	*	*	*
15	+	*	*	*	*	*
16	*	+	*	*	*	*

Na miejsce gwiazdek i krzyżyków postawić należy dane poniżej sylaby w ten sposób, aby litery na miejscach krzyżyków stojące utworzyły nazwisko współczesnego powieściopisarza.

Sylaby: a — a — a — az — best — cey — cerz — den — deń — do — fis — gwi — ha — ka — lub — lo — lin — lon — le — mem — mi — muk — na — ne — nas — pol — ram — ry — ra — sa — tan — tal — tar — tar — wa — wie — zes — zy.

Znaczenie wyrazów: 1) Dawna stolica Mandżurii. 2) Otcłan piekielna u Greków. 3) Faraon egipski z XIX dynastji. 4) Wojownik średniowieczny inaczej. 5) Bózek poezji. 6) Owoc. 7) Wyspa na północ od Australii. 8) Pustynia afry-

kańska. 9) Nazwisko króla francuskiego i polskiego. 10) Mitologiczny skazaniec w tartarze. 11) Miasto gubernialne w Król. Pol. 12) Miasto starożytne w Egipcie. 13) Jedna ze stolic europejskich. 14) Tytuł cesarza japońskiego. 15) Wyspa na południe od Azji. 16) Mineral.

Figiel rebusowy.

uł. Stasia z Razanla dla Wici Świdorskiej.

Trzy sylaby w literze
Posyłam ci w ofierze.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

uł. Filolog.

Zegar ścienny wybija godziny i półgodziny. Ile razy uderzy od 12-ej w południe do północy?

Rozwiązania łamigłówek № 1-go.

Łamigłówki tarczowej: NOTES.

Szarady: NOWY ROK.

Łamigłówki kropkowanej:

Nie to jest wielkie, co bywa dumne,

Ani to wielkie, co ludziom szumne.

Jeno to wielkie, w co ludziom wierzyć,

Przed czem w pokorze czołem uderzyć.

ŻARCIKI.

Roztargniony. Pewien pan, wróciwszy do domu, od swego przyjaciela spostrzegł, że nie ma przy sobie cygarnicy; pisze więc do przyjaciela następujący bilecik: „Proszę cię mój drogi, bądź tak dobry i przyslij mi cygarnicę, którą, zostawiłem u ciebie“. Po napisaniu czuje, że ma cygarnicę w bocznej kieszeni, uradowany, dopisuje: „Nie fatyguj się, proszę, gdyż właśnie znalazłem ją u siebie“, i jaknajspokojniej posyła bilecik.

JASEŁKA

W zakładzie sierot-chłopców przy ul. Fre-ta Nr. 40. Codziennie o 6-ej wiecz., w niedziele i święta o 4-ej i 7-ej w.

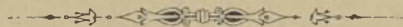
2)

Wawrzyniec Zeal.

—*—

TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.



Podniosłem się zwolna, i patrzałem za nami pełen zdumienia. Czego ci ludzie chcieli ode mnie? Kto oni byli? Czego szukali w moich kieszeniach? Wyrzekłem się rozjaśnienia tej zagadki.

Kroki napastników ucichły od dawna w nocnej ciszy, kiedy ruszyłem w dalszą drogę. Byłem porządnie potłuczony; cała ta przygoda przeraziła mnie, ale zdarzały mi się przedtem jeszcze dziwniejsze przypadki, a że udało mi się wyjść z nich cało, nie traciłem czasu na trapienie się tem, co zaszło. Tylko wracając do hotelu, zastanawiałem się długo i daremnie nad znaczeniem tej napaści.

To tylko przypuszczać mogłem. Pomimo, że ani jedno słowo nie było wyrzeczone podczas tych poszukiwań w ciemności leśnej gęstwiny, odgadłem narodo-wość ludzi, którzy mnie napadli. Chociaż zmysły moje nie były w porządku — uderzenie w głowę może zamącić jasność myśli — zrobiłem pewne odkrycie. Rękaw ręki, rewidującej moje ubranie musnął mnie po twarzy: rękaw był długi i szeroki — taki jaki noszą ludzie jednej tylko rasy na świecie.

Napastnikami byli Chińczycy!

Prawdopodobnie są to mieszkający obozowiska. Ale co mieli w tem, żeby mnie napadać? Czego szukali? Musiało to być coś bardzo dla nich drogiego, kiedy uciekli się do tak gwałtownych sposobów.

Zrzekłem się dalszego odgadywania i zjadłszy dobrą wieczerzę poszedłem spać do swego małego pokoiku

dają się do picia niegodziwej jego wódki. Poprawiło to moje wyobrażenie o nich. Wido-cznie ci Chińczycy są nie głupi. Postanowiłem zachować w tajemnicy moją nocną przygodę, dopóki nie odkryję, o co im chodziło, będę trzymał język za zębami. Ale na drugi raz, gdy będę wracał nocą z przechadzki, wezmę dla towarzystwa rewolwer. Nic nie szkodzi być przygoto-



ZIMA W LESIE.

ROZDZIAŁ II.

Legenda o talizmanie.

Nazajutrz rano zacząłem się rozpytywać o moich przyjaciół z chińskiego obozowiska. Gospodarz objaśnił, że to ludzie spokojni, ale że nie ma z nich korzyści, co znaczyło, że nie przykła-

wanym,—a mogłem ocenić doskonałość metody, jaką się posługiwali moi przyjaciele ze wschodu. Nie należeli ani do rzędu ludzi, którzy popełniają pomyłki, choć w tym razie ze mną zaszła jakaś pomyłka.

— Stary Tanawha—mówił mój gospodarz oparty na bufecie — nie może ich cierpieć, tych Chińczyków. Nienawidzi samego ich widoku. Śmiech bierze, kiedy się pomyśli, że tak on jak i oni, — każdy na swój sposób — są czarni ludzie, mu-

rzyny—tylko, że on jest brązowy a tamci żółci. Ale Tanawha jest pyszny, jak sam dyabeł i choć Chińczycy są dla niego grzeczni, i zawsze się koło niego kręcą i chodzą za nim, on nie chce z nimi nawet mówić. Prawda, że to śmieszne?

Zgodziłem się na zdanie gospodarza i wyszedłem.

Zadaniem mojem tego ranka, było dokonać przeglądu w obozowisku Chińczyków. Leśna drożyna daleko weselej wyglądała w jasnym świetle wiosennego dnia. Ale tak gęste były zarośla, przez które wycięto tę dróżkę, podobną do wąskiej szczeliny w zbitej gęstwinie zielonego sitowia—że tłuste czarne błoto na środku było jeszcze wilgotne.

Przyszedłszy do miejsca, w którym zostałem przewrócony na ziemię, obejrzałem je starannie i zadziwiłem się, zobaczywszy, że wszystkie ślady walki starannie zatarto. Widocznie Chińczycy mieli wprawę w niszczeniu swoich tropów.

Dochodząc do namiotów obozowiska, byłem prawie pewny, że pozwijano je podczas nocy, ale stały na tem samym miejscu, gdzie je wczoraj widziałem. Trzech Chińczyków pracowało usilnie w łożysku strumienia, a czwarty zajęty był gotowaniem obiadu. Pewny jestem, że wszyscy spostrzegli mnie, zanim ja ich zobaczyłem, ale żaden nie przerwał roboty. Podszedłem do kucharza i powiedziałwszy mu od niechcienia: „dzień dobry, John“ zapytałem co robią.

John nie zrozumiał. Uśmiechnął się błogo i potrząsnął głową. Powtórzyłem pytanie, a on znowu potrząsnął głową. Potem wyszedł.

— Ja nie rozumiem.

Ale byłem zdecydowany nie wracać bez rezultatu z rannej wyprawy. Bardzo mi się przydało, że przepędziłem trzy lata w Chinach. A chociaż żaden Europejczyk przy zdrowych zmysłach będący, nie zdołałby się przez całe życie nauczyć chińskiego języka w całej rozciągłości, umiałem go jednak tyle, co każdy przeciętny Chińczyk.

Więc zapytałem od niechcienia po chińsku:

— Szukacie tu złota?

Chińczyk zadziwił się. Wyjąkał potwierdzającą odpowiedź.

— Czy nie znaleźliście nic dzisiaj nocy?—dodałem.

I odszedłem pozostawiając go w głębokiej zadumie. Stał nieruchomo, trzymając w ręku długą warząchiew, którą mieszał gotujące się jedzenie. Kiedym się obejrzał na zakręcie drogi, zobaczyłem, że stoi ciągle wpatrzony w warząchiew.

Wracając do domu, czułem, że jednak słowa moje dały im do myślenia. Wyobrażałem sobie ich zdziwiony świergot, gdy kucharz zwołał towarzyszów — ich niejasne i pełne niepokoju do-

mysły co do mojej tożsamości — ich trwożliwe podejrzenia co do moich dalszych kroków. Odkrył ich ktoś, kto ich znał, kto znał ich kraj: może ktoś przystany z Chin do czuwania nad nimi, do zniweczenia ich planów? Czułem, że mieszkańcy obozowiska nie będą mieli spokojnego ani przyjemnego dnia. Myśl ta dodała smaku mojemu obiadowi.

Ale tego samego wieczora, oczekując przybycia przyjaciela Maorisa, obejrzałem rewolwer czy nabity. Wypowiedziałem wojnę: nie dam się zaskoczyć po raz drugi.

Gdy wieczór zapadł, Tanawha przyjechał — sam, Powitał mnie z powagą, według zwyczaju Maorisów, i zapytał o zdrowie z niezachwianym spokojem. Zauważyłem, prowadząc go do jedynej w hotelu hawialni, że wyglądał bardzo źle. Bardzo źle i bardzo staro.

Ale gdy zamknąłem drzwi, spostrzegłem, że powaga, którą zwykle się otaczał, znikła natychmiast. Był bardzo wzruszony.

— Czy ten pokój pewny?—zagadnął z pośpiechem. — Czy nikt nie może podsłuchać naszej rozmowy?

— Chyba gdybyśmy wrzeszczeli, Tanawha.

— Nikt nas nie może widzieć? — nalegał rozglądając się bacznie wokoło.

— Nikt nie może widzieć przez ściany — odrzekłem zadziwiony jego ostrożnością i tajemniczością.

— Mam dużo do powiedzenia mojemu bratu— wyrzekł Tanawha cichym głosem.

— W takim razie— odrzekłem, znając z doświadczenia jego mowność—lepiej będzie zamówić coś do wypicia.

Zadzwoiłem i gospodarz ukazał się.

— A teraz mów!—powiedziałem po wydaniu rozkazów gospodarzowi.

— Jestem stary zaczął Tanawha—i ostatnia moja chwila, jak mi mówi mała zielona jaszczurka — już się zbliża. Ale nie jest jeszcze tak blisko, jakby tego pragnęli niektórzy ludzie. Dzisiejszej nocy stoczyłem bitwę. Stoczyłem dużo już bitew: ale tym razem było czterech przeciwników jednemu, i nie lękałem się. Jednego zabiłem jak myślę: dawniej byłbym tego pewny, ale teraz jestem stary i słaby.

— A pozostali trzej?—zapytałem.

Zacząłem się domyślać kto byli ci napaśnicy.

— Zbiegli — kiedy ich pobiłem — odrzekł Tanawha z posępnym uśmiechem.

— Chińczycy? — zagadnąłem, choć dobrze wiedziałem, że tak.

— Skąd wiesz? — zapytał zdziwiony.

Opowiedziałem mu wszystko o napaści jaka mnie spotkała ostatniej nocy.

— Czego oni chcieli?—zapytałem,

— Tego, czego chcieli — odparł stary wódz, uśmiechając się z zadowoleniem. Powiem ci, co to jest.

— Ach! niosą nam coś do picia — powiedziałem, gdy ktoś otworzył drzwi bez stukania.

Spojrzelismy na siebie ze zdziwienia, bo do pokoju wszedł, niosąc napoje — Chińczyk.

— Kto ty jesteś? — zawołałem, chwytając go za rękaw.

— Ja nowy kucharz, sam angielski kucharz, — odrzekł uśmiechając się słodko.

— Czy to ciebie ja widziałem dziś rano — tam nad strumieniem?

— Ja nie wiedzieć. Nie widzieć mnie da-wniej. Ja nowy kucharz.....

— O! teraz i mnie się zdaje, że nie widziałem cię dawniej: wszyscy Chińczycy są do siebie podobni, nieprawdaż?

Pozwoliłem mu odejść, mając nieokreślone uczucie, że to ten sam Chińczyk, którego pozostawiłem stojącego nieruchomo nad ogniem w obozowisku, z długą warząchwą w rękę.

Postanowiłem wyprawić się tam znowu na-za jutrz rano dla nabrania pewności.

Przez cały ten czas Tanawha nie wyrzekł ani słowa, ale gdy kucharz zamknął za sobą drzwi, powiedział do mnie spokojnie:

— To jest jeden z tych trzech, którzy uciekli.

— Więc chce koniecznie zdobyć to, za czem goni? — odrzekłem.

Wyciągnąłem rękę do szklanki: lecz Maoris położył szybko swoją dłoń na mojej i szepnął:

— Nie bierz: może to być trucizna, chcą zabić mnie, a może i ciebie. Nie pij dziś tego „*waipiro*“ (ognistej wody).

— Może masz słuszość — odrzekłem. Ale to wielka przykrość nie mieć ani kropli whisky do wypicia. Teraz zabieraj się do opowiadania swoich bajek.

— To nie bajki, to prawda — odparł z powagą Tanawha.

I opowiedział mi całą historią. Nie powtarzam tu jego słów. Opowiadał tak, jak zwykle Maorisowie: posługiwał się poetycznymi frazesami i malowniczymi zwrotami, które się spotyka w ich starych podaniach: używał takich wyrażen, których ja — choć znam język Maorisów — nie słyszałem nigdy przedtem — śpiewał całe ustępy w jakimś innym narzeczu, starożytniejszym niż używane obecnie. Oto co mi opowiedział.

Przed wiekami, praojcowie jego zamieszkiwali w Indyach wśród gór sięgających do nieba (Himalaje). Na zboczach tych gór, naród jego przebywał od niepamiętanych czasów. Potem został wyparty z tych miejsc niedostępnych i przeszedł na równiny Hindostanu. Ale przemieszkawszy tam długie wieki w dostatku i obfitości, na-

ród zaczął doznawać niepokoju i wędrować na południe. Ludzie pobudowali czółna i pływali po morzu daleko — coraz dalej. Na południe i na Wschód robili wycieczki coraz śmielsi i coraz lepiej ćwicząc się w sztuce wojowania. Mijały wieki a męstwo podróżników doprowadziło do tego że poobsadzali wyspy swym ludem, aż wreszcie najśmielsi i najmężniejsi z ich wojowników przybyli do wysp „*Ao-tea-roa*“ — długiej białej chmury, jak ci podróżnicy nazwali ziemię śnieżnych szczytów i pasm górzystych — Nową Zelandię.

Ale pomimo upływu wieków Maorisowie nie zapomnieli kolebki swego narodu. Kiedy u podnóża Gaurisankaru byli rozproszeni przez nie-wiadomych najeźdźców, jedna część narodu poszła na wschód, do Tybetu, ale pomiędzy dwoma daleko od siebie rzuconymi gałęziami zachowały się węzły braterstwa i przyjaźni.

Niektóre wyrazy, jakimi posługiwał się Tanawha w tym ustępie swego opowiadania wydały mi się podobne do narzecza Tybetańczyków, które słyszałem na krańcach Chin; ale nie znając dostatecznie języka, nie mogłem być tego pewny.

Przed wielu tysiącami lat — jak dawno, Tanawha nie mógł powiedzieć — jakiś wódz czy król Tybetu stał się panem połowy Azji. Do owej chwili, Tybetańczycy byli zbiorowiskiem plemion mało cywilizowanych, wiodących niezależny żywot górskich klanów — „tak jak wodzowie plemion w Nowej Zelandyi“ — dodał Tanawha.

(d. c. n.)

Z wystawy gospodarstwa domowego.

Kochana Marylko! Jestem od dni kilku w Warszawie, nie myśl wszakże, że ci będę opisywała teatr i zabawy. Bawić się lubię, ale dotąd nigdy jeszcze nawet w większym towarzystwie nie byłam. Teatr zaś nie ucieknę. Teraz chodzę z mamą do Muzeum Przemysłu, gdzie Towarzystwo higieniczne urządziło wystawę gospodarstwa domowego.

Widzę już two niezadowolenie, słyszę jak mówisz:

— Ma też co opisywać, gospodarstwa mam po uszy!

— *Elle porte bien son nom!* prawdziwa z niej „Marta!“ — dodajesz.

Tak „Marta“ jestem, choć i „Maryś“ w gruncie, — że jednak składamy się z materii i ducha, musimy o tej materii czyli marnej powłoce naszego ducha mieć staranie, ażeby duch nasz miał zdrowe i estetyczne schronisko.

Otóż wystawa gospodarstwa domowego poucza nas, jak odżywiać, ogrzewać i chronić od wszelkich złych wpływów tę naszą marną powłokę: dowiedzieć się można tam wielu rzeczy.

Najprzód wpadły mi w oczy sposoby dezynfekcyi czyli odkażania mieszkań po chorobach różnych, do czego wszelkie przyrządy wystawił p. Zawadzki. Zachwycił mnie p. Zaleski, wynalazca rozmaitych preparatów, zabezpieczających okna od zamarznienia, bo właśnie szron podczas tych mrozów cały mi widok na ulice Warszawy zakrył. Dalej oglądałam plany mieszkań dla robotników, z życzeniem, aby jak najprędzej plany te w budynki się wszędzie zmieniły.

Niesłychanie mnie też zajęło urządzenie sypialnego i stołowego pokoju p. Dymka z Pruszkowa. Wszystko wyrobione z czystego dębu,

I dlatego muszę cię zaprowadzić do wszystkich kiosków z prześlicznymi rondelkami itp. statkami i stateczkami kuchennymi, do bardzo prostej a nie wydającej odoru pralni oraz do kuchni urządzonej przez p-ą Norkowską, w której poczynawszy od czystuśkiego ubranej służącej, aż do najmniejszego sprzętku wszystko jest tak pociągające, iż zdaje się, że potrawy w takiej kuchni umiejętną ręką przyrządzone muszą każdemu smakować. Żeby zaś wiedzieć jak je przyrządzić są przecież ku temu książki i wychodząca od lat 3-ich „Dobra Gospodyni“, która obok praktycznej strony daje nam i strawę duchową w dodatku „Nasze Kłosa“. Kończę na tem, pomijając wiele rzeczy, mam nadzieję, że przyjedziesz do mnie i razem pójdziemy obejrzyć tę pożyteczną wystawę.

Twoja Marta.



Z oblężenia Portu Artura.

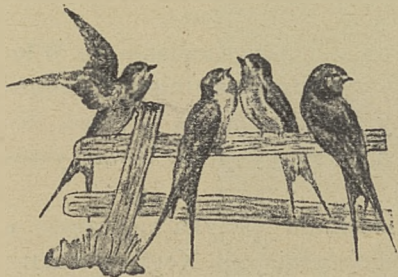
proste i skromne, że już nie skromniejszego, a zarazem tak ładnego wyobrazić sobie nie można. Przyszła mi nawet myśl, żeby to mieć kiedyś tak urządzone własne mieszkanko!.. Bo wszak prawda, Marylko, że każdej z nas, czy wyjdzie za mąż czy nie wyjdzie, również trzeba się starać, żeby posiadać bodaj kąciok miły, w którym mogłaby swobodnie i przyjemnie pracować. A ta wewnętrzna strona domu, przyznaj mi, to już od nas zależy. Bo przecież chociażby głowy nasze zdobił biret doktorski lub wielka aureola sławy otaczała, nigdy nie przestaniemy być *białogłowami*.

ZE ŚWIATA.

Z oblężenia Portu-Artura. Olbrzymia ta twierdza, w ciągu jedenastu miesięcy odcięta od świata, zarówno od strony morza jak i lądu, po bohaterskich walkach, wyczerpawszy wszystkie środki obrony i żywności i straciwszy większą część załogi, musiała ulegć i w dniu 2 stycznia r. b. poddała się przeważającej sile Japończyków. Oblężenie i obrona Portu-Artura to jedna z najkrwawszych walk historii wojennej. Kosztowały kilkadziesiąt tysięcy ludzi obu stron w ostatnich czasach. Japończycy w celu ukrycia się przed morderczymi strzałami, mu-

sieli kopać ogromne rowy i podkopy i zbliżywszy się w ten sposób do każdego z fortów, rzucać się na bagnety. Tę właśnie chwilę przedstawia nasza rycina.

Mgła w Londynie. Najstarsi ludzie nie pamiętają takiej mgły, jaka w czasie świąt osnuła stolicę Anglii, przyczyniając ogromne kłopoty i straty. Mgła była tak gęsta, iż np. wielkie elektryczne lampy żukowe z oddalenia 20 kroków wydawały się jak tłące cygara. W Chiswick spłonęła olejarnia, ponieważ straż ogniowa nie mogła znaleźć drogi do płonącego gmachu. Meteorologowie zapowiadają trwanie mgły przez dłuższy czas. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w chwili pojawienia się mgły prof. Brodin miał w londyńskim Towarzystwie meteorologicznym ciekawy odczyt „O naukowem potwierdzeniu widocznego zmniejszania się plagi mgieł w Londynie“. Prelegent nie zyskał uznania.



Skrzynka do listów.

Dobra to rzecz Nowy Rok! Obdarza on Jaskółkę życzeniami wielu kochanych piskląt, wielu takich, które rzadko odzywają się do mnie, a jednak bardzo mi są drogie, bo dobrą nauką przynoszą chlubę gronu dzieci „Wieczorów“. Ot leży przedemną karta dwóch celujących uczniów **Miechowiły i Inżyniera**, niestałej a jednak miłej korespondentki **Gwiazdeczki**, od **Dziki Litwinki**, bardzo miłej staruszki, **Mandarynki**, która bodajby była zupełnie zdrową po kokluszku. **Zimorodek** przysłał serdeczne wyrazy od gromadki ptasząt ze swego gniazdką; jest tam **Kraska Leśna**, **Dziki Gołąb** i **Kobuzek-łobuzek**. Kochana **Królewianka** nie zapomniała o życzeniach, przysłała je i **Stasia Kuszelewska**, tę Stasię radabym namówić do dłuższego listu, bo bardzo miłutko pisze. **Świątełko** zreczynnym rymem Jaskółce winszuje. Ją proszę niechaj często pisze i rymuje.

Dwie karty od korespondentów przyniosły oszczędności skarbonek, przeznaczone na chleb dla głodnych **Stefcia** i **Jasia Boye** a także **Rezeda z nad Dniepru** dały tę radość Jaskółce, że może z ich darów pożywić łaknących. Bo też rok to ciężki dla biednych, patrząc na nędzę chciałoby się rozmnożyć w tysiące każdy okrucieństwo chleba. Jaskółka prosi Boga o ten cud, a tymczasem pragnie siłą własnego uczucia mnożyć w naszych sercach miłość dla nędzy. Ucałuj **Rezedo** rączki babci, pragnę abyś polubiła „Wieczory“, które ta szanowna babcia dla ciebie zaprenumerowała.

Słusznie piszesz **Goplano**, że pisklę przybywające z nad Gopla bardzo miłe jest widziane w gniazdku Jaskółki, ale dziś ma ona dużo liścików a mało miejsca w skrzynce, więc tylko dwa słowa: kochaj nas i pisz często.

Ciesz się **Szarotko z Tatr**, że znalazłaś odpowiedź na ciekawiające cię pytania, donieś więc jakie znaczenie mają kabalistyczne litery.

Czarnobrewa pisklę przysłało 50 kop. a Jaskółka dała je biednej, bardzo biednej dziewczynie, która swoją pracą utrzymuje matkę.

Prawda, że sutą kolendę dostałaś **Diano**, a co ty dałaś ludziom? Wielką jest radością otrzymywać dary ale spróbuj doznać uciechy jaką jest dzielenie się z uboższymi, tem co sami posiadamy. „Mam to, co dałam“ powiedziała mi raz dziewczynka sparaliżowana, która nie mogąc sama ruszyć się z miejsca dla chorych nóg, zdrowemi, choć wychudzonemi rączkami stroiła na gwiazdkę lalki dla biednych dzieci.

Biedna moja **Kotka z Pilawy** tyle przysmaków zawiesiła na choince a sama, jak prawdziwa kotka, pije tylko mleczko po szkarlatynie. „Ale co tam“ — pisze. Bardzo mi się to „co tam“ podoba, czuć w niem dzielną naturę, a takich potrzeba naszemu społeczeństwu.

Ileż razy **Halko z nad Teterowa** patrzyłam na twoją fotografię, bo często robię sobie tę radość i oglądam posiadane podobizny! Patrzyłam myśląc, że Halka tak właśnie wygląda teraz, w ciepłym płaszczyku z rękami zasuniętymi głęboko, żeby łapki nie zmarzły. A oto list od ciebie przyniosła mi skrzynka, dziękuję za życzenie pozyskania nowych serc do naszego grona, pragnę tego gorąco dla siebie i dla kochanych „Wieczorów“.

Bardzo miłe opłatki wasze **Marylko** i **Wyganko**, ale największą radość sprawił mi okrucieństwo **Józia** złamany, bo gorąco prosiłam Boga o zdrowie dla braciszka, o pociechę dla szanownej waszej mamy. To nie czcze wyrazy, wierząc, nanczyło mnie życie rozumieć wszystkie bóle i pocieszać własne serce radością drugich. Dzielę z wami każdą dobrą chwilę, a chociaż przyjazd ojca i cioci nastroił ich wiele, życzę z całej duszy abyście jaknajprędzej wrócić mogli z pięknych Włoch pod szare polskie niebo.

Wiedziałam **Niezabudko z nad Buga**, że pewnie choroba przeszkodziła ci w pisaniu, i nieraz myślałam o twojej mamie, czy szczęśliwie zwyciężyła tyfus, teraz kiedy złe minęło, pamiętaj częściej przysyłać liściki i donosić jak ci przyniosło dochód dla biednych ścieraniem kurzu i bawieniem siostrzyczki.

Słyszałam, że **Uparta Kózka** jest bardzo miłym stworzeniem, ale psuje zabawki starszej siostrzyczki. Fe, Kózko, nie rób tak, siostrzyczce przykro i zabawek szkoda, przydałyby się do szpitalika dla dzieci, które są ubogie i nie dostają cacek. No cóż, czy poprawisz się, Kózko?

Podobasz mi się **Anko I.**, umieć dzielnie pracować jest cennym przymiotem, więc pragnę bliższą zrobić z tobą znajomość.

Czarna Gaska wielką radość sprawiła mi swoim miłutkiem listem pisz bez tytułów „kochana Jaskółko“, między ptakami niema ceremonii, zwłaszcza względem starego ptaka, który całe gniazdo pod skrzydłami tuli.

A ty **Zdzisiu** czy znasz Warszawę? ja ją tak kocham, że daleko nie wyfruwam z niej nigdy, zwłaszcza tam gdzie, jak piszesz, jest b. zimno. Ale ciebie i twoją kochaną siostrzyczkę **Jadzię** pragnęłabym poznać.

Dziękuję za życzenia **Dobrusiu K.** i nawzajem życzę aby twoi siostrzeńcy naśladowali ciocię w dobrej nauce. Pieniądze dla biednych redakcja przyjmuje z wdzięcznością. Donieś czy zawsze chodzisz na pensję p. J. i czy dużo masz koleżanek. Obiecujesz poprawę **Rybaku z pod Płocka** a ja się tą obietnicą cieszę, bo doniesiesz mi pewnie ciekawe szczegóły o tym starym i kiedyś pięknym mieście. „Wieczory“ dogodzą teraz twemu żądaniu, ale jeszcze musisz być cierpliwym.

Więc to tak, **Dumko**, gniewałaś się trochę na Jaskółkę, że nie prędko odświegotowała ci. Wierzaj, nie jej to wina, ona odpisuje zaraz, co tam odpisuje! toż leciałaby do waszego ogródka żeby z tobą zajrzeć w lochy, które może kryją ciekawe tajemnice.

Nieprędko **Czarnuszko** z **Dziunkowa** odbierzesz moją odpowiedź

Srocza pewno wyjechała już z Żytomierza, a szkoda, bo pragnęłam cię uściskać za bardzo miły liścik i za sukienkę uszytą kochaną twoją łapką.

Mało mam dziś miejsca na list od ciebie **Serdu-szko**, gdyż skrzynka pełna, ale odczuj, że tulę cię w myśli skrzydełkami i proszę Boga aby błogosławił zamiarom twoim doskonalenia się w miłości, bo pamiętaj, że jak powiedział Święty Paweł „nic nad miłość“. Jestem dumna twoim zaufaniem „gorzkiego lekarstwa przestrogi“ nie oszczędzą ci nigdy właśnie dlatego, że drogą mi twoja przyjaźń.

Zasłużyłaś na choinkę **Jadwiśko** skoro sama tyle pociechy sprawiała biednym dzieciakom, ach gdybyście widzieć mogły radość tych, które dostały ciepłe sukienki waszemi rękami uszyte. Redakcja pośle ci nagrodę i adres Muszki z nad Rosi, ja dziękuję serdecznie za dobre życzenia.

I mnie ucieszył twój list Kochana **Bławatko** bo uczucia jakie w nim wyrażasz znajdują odgłos w mojem sercu. Winszuję ci twojej nauczycielki, słusznie chlubić się możesz taką przewodniczką. A co porabia **Lilijka**. Bardzo pragnę częściej z wami korespondencji, dają mi one coraz lepiej poznać pisklętą, które przyznaję, za surowo osądziłam z pierwszego listu. Darujcie winę i pisujcie o wszystkim, co nam jest drogie do waszej

Jaskółki.

Ze szkół i uczelni.

Na uniwersytecie warszawskim w roku bieżącym znajduje się 1485 studentów; w tej liczbie: 102 na wydziale historyczno-filologicznym; 342 — na matematyczno-przyrodniczym, 480 — na lekarskim i 561 — na prawnym. Według wyznania przypada: 987 katolików, 247 prawosławnych, 186 żydów, 42 ewangelików-augsburskich, 13 ewangelików-reformowanych, 7 ormian, 2 wyznania anglikańskiego i 1 mahometanin.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 15 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Ci, co dla nas piszą (z portretem), przez W. K. — Jak cię witać? (wiersz), przez Miles (St. Podhorska — Okołów). — Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Zofię Morawską. — Nasze prawa i obowiązki (list II), przez Ciocię Zosię. — Przejazdźka (wiersz przez Ig. B.), rys. J. Chełmińskiego. — Talizman władzy, przez Wawrzyńca Zeai'a (przekład M. G.) — Z wystawy gospodarstwa domowego przez Martę. — Ze świata (z ryc.) — Skrzynka do listów, przez Jaskółkę. — Ze szkół i uczelni. — Nasza encyklopedia. **Dodatek:** — Ah-ni-gh-ito (z 2 ryc.), z ang. przez M. G. — Pudel (wiersz), przez Wł. Płaczkowską. — Zawstydzony Kazio przez M. R. S. — Odważni tchórze (komedyjka). — Logogryf, Figiel rebusowy. Zadanie arytmetyczne. — Zarciki.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczynie **Marya z Chomętowskich Balińska**.

Prócz tego na uniwersytecie znajduje się jeszcze 82 słuchaczy kursów farmaceutycznych i 86 wolnych słuchaczy.

Nasza encyklopedia

(zamieszcza objaśnienia wyrazów nieznanych większości czytelników „Wieczorów“.)

Aforyzm — pochodzi od greckiego *aphorismos* — określenie; wyraz ten w mowie potocznej oznacza krótkie i treściwe zdanie, wyrażające jakąś myśl głębszą, zasadę życiową lub istotę jakiej nauki.

Audyencya (po łacinie *audire* — słuchać) tak nazywa się posłuchanie, dawane interesantom przez sądy, urzędników wyższych lub też osoby wysoko postawione, jak papież, monarchowie, prezydenci państw i t. p. W Hiszpanii audyencyą nazywa się sąd wyższy.

Improwizatorowie — nazwa nadana we Włoszech poetom, którzy bez uprzedniego przygotowania na zadany temat układają wiersze, deklamują je lub też śpiewają przy towarzyszeniu muzyki.

Dar improwizowania spotyka się często u narodów z żywą wyobraźnią, np. Negrów i Arabów.

Improwizacye znane były Egipcyanom, Hebrejom, Grekom i Rzymianom. Improwizatorami byli zazwyczaj skaldowie skandynawscy, bardowie szkoccy, trubadurów prowansalscy lirnicy i gęślarze słowiańscy.

U nas świetny dar improwizatorski posiadał Mickiewicz; improwizowali również Słowacki, Zaleski Bohdan, Odyniec, Syrokomla (Kondratowicz) i inni, ale wszystkich łatwością i obfitością improwizacji przewyższała Deotyma (Jadwiga Łuszczewska), której współpracownictwem mogą się „Wieczory“ nasze poszczycić.

W muzykę podobną łatwością improwizowania między innymi odznaczał się Fryderyk Chopin.